

# Wspólna obecność

ZLP  
RZESZÓW

druk NAZ DOM RZESZÓW

nr 3, marzec 2008

Debiut • Proza • Reportaż

## Sylwia Puchalik



Urodzona 20.04.1967 r. w Krakowie. Matura w 1985 r. w Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie. W latach 1985 – 1991 studia psychologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1992 r. mieszka w Krośnie. W latach 1992 – 1996 pracowała w Wojewódzkim Urzędzie Pracy w Krośnie jako koordynator poradnictwa zawodowego. W 1996 r. podjęła służbę w policji jako psycholog w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krośnie, a po reformie administracyjnej kraju pracuje w KWP w Rzeszowie. W grudniu 2000 r. wyjechała na rok do Polskiej Jednostki Specjalnej Policji w Kosowie jako policjant – psycholog (jedyna kobieta wśród 114 funkcjonariuszy). Była pierwszą policjantką, która pełniła służbę w tego typu jednostce. Obecnie nadal pracuje w Sekcji Psychologów KWP w Rzeszowie w stopniu nadkomisarza.

## KOSOWSKIE IMPRESJE

### Impresja I

Zima. Drogowskaz –Tirana (chyba coś około 100 km stąd).  
Koniec świata...

Wokoło góry całkiem sympatyczne. Jezdnia mniej. Pełno dziur, wyrw. Trzeba uważać, żeby nie urwać fragmentów podwozia. I camp. Trochę baraków ogrodzonych kolczastym drutem. A dokładniej: workami z piaskiem, a na nich dopiero ten kolczasty drut. Trzy wieżyczki wartownicze, żwir, betonowe płyty, szlaban i dwa maszty z białą-czerwoną i niebieską flagą. Na horyzoncie góra przykryta czapą śniegu. Nieco bliżej niższe wzniesienie, z którego nocą błyskają światła niemieckiego KFOR-u.

Miasto. Kurz i pył unoszący się w powietrzu. I brud oblepiający rzeczywistość. Owoce wysypujące się na bruk. Kolorowy, hałaśliwy tłum. Mężczyźni w białych, filcowych denkach na głowach. Śniade, osłonięte zarostem ciemnoookie twarze. Tureckie kobiety w białych chustach na głowach i szerokich spodniach z krokiem w okolicy kostek. Albo inna staruszka ze swego rodzaju tiurniurą na pośladkach, idzie zgięta w pół. Pod nogami skudłacone, przetrącone losem i spotkaniem z człowiekiem psy, grzebią w stertach przesypanych wiatrem śmieci. Ludzie w mundurach: KFOR-u, policji z całego świata – biali, czarni, śniadzi, w niebieskich beretach i z niebieską plakietką na rękawie. Dalej spłaszczony dachy meczetów z wysmukłymi minaretami i rozlegającym się zawodzeniem muzezinów, które ma nawoływać do modłów. Połacie mięsa zawieszony na hakach. Zwoje ciemnej kiełbasy wędzonej tumanami kurzu unoszący się spod kół przejeżdżających samochodów. Sredniowieczne mury gorące nad miastem i kamienny most z opancerzonymi samochodami. Po drugiej stronie rzeki kafejki, urokliwe zaułki.

Noc. Ludzie stojący rzędem pod ścianą z dłońmi opartymi o mur, nogi szeroko rozstawione. Obok inni w mundurach. Błyskają światła „coca-coli”. Jest godzina zakazana. Police! Open the door! Odgłos sypiącego się szkła kruszonego taranem. Przerazone oczy kobiet, wyrwanymi ze snu dzieci. Płaczące się wyrostki. Płacz i krzyki. Gumowe rękawiczki na dłoniach lekarza. Nadbiegający z ciężką, metalową walizką pielęgniarz. Pies patrzący beznamiętnym wzrokiem – bo to kolejny raz. Barwne

dywany zabłocone grudkami wilgotnej ziemi, która przywarła do ciężkich butów. Drewniane kolby karabinów z napisem „1933 r.”. Puste magazynki „tetetek”. Pokój mężczyzn. Popalone dokumenty w stojącym na środku piecu. Fotografie na ścianach. Boazeria. Wejście na strych. Rozrzucone ciuchy, przewracana pościel. Dużo pościeli. Zasnuty grysik na talerzu, gąsiorek z rakiją. Przed chwilą odstawiona szklanka i pranie schnące na sznurze. Błyszczące w ciemności oczy kota i wykrzywiona obórka. Znowu kawalkada samochodów i kajdanki na przegubach rąk. Wrogie spojrzenia i bosa stopy.

Góry. Bogate, z szaroburymi kępami drzew jak kuleczkami rzepów, opasane drutem z napisem „miny”. Ostre zakręty i znowu wyrwy w jezdni. Albańczyk stojący na czatach, palący od niechcenia papierosa, bistro omiatający wzrokiem przejeżdżające samochody. Krowy z załajnionymi bokami, zaprzężone do drewnianych wozów, z jeszcze bardziej drewnianymi kołami. Kolorowo, ale wszystko oblepione szarością. Spopieliałe barwy, tak jakby życie zastygło, napiętnowało i krajobraz, i twarze ludzi. Przydrożne groby z wykutymi w granicie twarzami. Otulone jarmarcznymi, okropnymi, sztucznymi kwiatami, złożonymi tam gdzie padli. Kolejny zakręt i check-point. Tym razem progi zwalniające, wieżyczka wartownika osłonięta szarpaną przez wiatr pałątką i kłęby drutów kolczastych. Pusto, tylko ściany zburzonego domu świadczą, że był tu ktoś jeszcze oprócz żołnierzy. ID i biały samochód z literami UN jako przepustka. Okruchy zsuwających się skalnych odłamków, kolejny ślad po wyrwanym kawałku asfaltu. Najeżone roślinnością wzgórza i góry. W zagłębieniach śnieg, cienie jaskiń. Niżej strumień, kawałek świeżej, zielonej trawy. Jakaś owca, jakaś koza i obszarpani pasterze. Leżące szkielety krów. I znowu tabliczka - „miny”. Potem znak dawnej „świećności” stary, dobry, olbrzymi, trochę straszący architekturą dom wczasowy z czasów Tito, z obdrapaną elewacją, lekko przesłonięty drzewami. Kolejni żołnierze. Jakiś zniszczony, rozwalony nie wiadomo jak i dlaczego dom. Gdzie indziej same fundamenty i zapomniana piwniczka. Podrapane kawałki betonu. Serpenty i poczucie, że jest tak bezpiecznie i swojsko. Bo jest opoka, bo jest dusząca, zmieniająca odcienie szarości mgłą, że nawet nie wiadomo, gdzie znikają szczyty gór i czy w ogóle są.

Pustka. Płasko aż po horyzont. Kałuże i zarośnięte rowy z dającym do myślenia zapachem. Co jakiś czas fragmenty sierści zmieszanej z zaschniętą krwią i zniekształconymi pyskami psów czy kotów. Rozpruty pociskiem dach jakiejś fabryki. Krążące stada: wron? gawronów? W każdym razie czarnych ptaków, szukających przekąski na największym wysypisku śmieci świata. Wiatr porywając kawałki nie wiadomo czego, odsłania kolejne warstwy dna. W tle nowe bloki i nagle tęcza. Bliska i wyraźna. Smog tak wysoko nie sięga.

„Tygrys”. Samotny, zapomniany czołg stojący na zboczu. Pnące się w górę wąskie, strome wertepy udające drogę, giną pomiędzy zapadającymi się w ziemię domami. Zielen drzew przetykana czerwienią dachówki. Osiołek na sznurku skubiący zapomniane źdźbła trawy na przymie gliny. Przyjaźnie uśmiechnięci ludzie zaglądający przez szybę samochodu. Dzieci ufnie podbiegające z wyciągniętą ręką. Biały kamień maleńkiej cerkwi. Ikona z ocalałymi ze zgłiszczy monastynu oczami, dłonią i spisanimi świętymi strofami.

Słońce. Ostre, odbijające się od tafli jeziora. Pagórki jakby trochę niższe. Bezludnie. Jeszcze jedna kolejka samochodów czekających na przepustkę przez check-point. Cerkiew – ale zamiast popa – stacja KFOR-u. I wszędzie wokół znajomy widok ludzi w mundurach. Opierają się o pancerze, dłonią obojętnie odsuwają lufę karabinu, by przypalić papierosa. Amerykańskie, francuskie, włoskie, polskie i inne znaczki na rękawach. Wieża Babel. Ale uzbrojona po zęby, w nakrapianym mundurze, hełmie i osłonięta kamizelką kuloodporną. Jeszcze stoi. Na przekór górom, tęczom, słońcu i tym, którzy tu zostali.

### Impresja II

Macedonia. Opuszki palców rozsunięte przez zakratowane Mokno samochodu głaszczą rozżarzone powietrze. Asphalt wije się pomiędzy ścianami gór jak pijany zaskroniec. Z zieleni drzew wyrastają gdzieniegdzie szarotwarde skały i pasiaste kominy. Dymią intensywnie, uzasadniając swoje istnienie. Długa kolumna ciężarówek wolno posuwa się ku granicy. Ostre słońce znika w nagłym tunelu. W dole zapomniane tory kolejowe. Na zboczach minidomki z miniaturowymi warzywniakami. Jasny kamień wiekowych mostów prowadzących donikąd, przeplata się z białymi betonowymi cembrowinami ustawionymi na przekór, między zwalami ziemi. Za nimi kryją się żołnierze z pomarańczowo-czerwoną flagą na hełmie. Zakaz fotografowania. Obiekt wojskowy.

Skopje. Ulice zatłoczone samochodami z istniejących i z zapomnianych krajów świata. Jadowicie fioletowe i te z emblematem CD. Uśmiechnięci ludzie, siedząc w wiklinowych fotelach popijają kawę i piwo. Nobliwy mężczyzna, z zarostem przyprószonym siwizną kupuje „burek”. Dziewczyna z wionczelą przewieszoną przez ramię szybkim krokiem przemierza ulicę. Kobieta z głową szczerle otuloną białą chustką przytrzymuje rozchylany wiatrem szary, długi do kostek płaszcz. Gorliwi, śniadzi chłopcy polerują szyby samochodów, z niepewnością czekając na zapłatę. Smukłe wieże meczetów sąsiadują z kopułami cerkwi na tle „wzgórza miłości”. Spaliny owiewają długonogie dziewczyny w minipódniczkach i różowe pięty niemowląt trzymany na ręku. Ponure betonowe wieżowce mieszają się ze spadzistymi dachami nowoczesnych bloków z czerwonej cegły. Obok radośnie żółci się budynek Holiday Inn. Most przerzucony nad mętną, burą wodą prowadzi do krętych, kamiennych uliczek, pełnych sklepów i gwaru. Czerwone autobusy z dawnych lat, ciężko sapiąc przemierzają kolejne skrzyżowania. Na miastem popielate mury stoją nieporuszenie od lat.

Kosowo. Sznur samochodów miesza się z furmankami wypełnionymi ludźmi, jadącymi „na słowo honoru” pseudotraktorami i zapachem burzy w powietrzu. Granitowy pomnik „ku chwale” z dumnie powiewającą czerwoną flagą z czarnym ptakiem, sąsiaduje z budką pełną hamburgerów. Za każdym zakrętem „autolarże” sklecone naprędcę. Porzucone wraki samochodów. Zarośnięty niepomniąc przydrożny cementarz.

Stalowa szyna udaje zwalnający próg. Boczna droga. Słonecznie żółta łąka. Pełznący ufnie środkiem drogi żółw. Przemykające pastelowo-zielone jaszczurki odrzucające z przerażenia ogon, krwawią. Stadko pasących się niezwykajnych krów. Rdzawe listki poziomek na zboczu. Spiętrzone wody weekendowego wypoczynku. Ruda ziemia w skalnym załomie. Zielone - prawie jak nad Soliną wzgórze.

Mitrovica. Pilnie strzeżony most niezgody spowity kolczastym drutem. Uroda kobiet wskazująca jego stronę. Niemieckie marki i serbskie dinary. Biała bułka i ciemny chleb. Bregovic i hity Eurowizji. Gęstniejący, wrogi tłum.

Nowoczesne butiki i obskurne budki z pestkami dyni. Zielo-

ne kamienice z białą lamówką, mieszkania w wysokich blokach ogrzewanych „kozą” i ruiny cygańskiej dzielnicy. Konwój wierzniących do cerkwi stojącej po niewłaściwej stronie. Wschód słońca w „Małej Bośni” i przerucane worki mąki. Biała smuga na czarnym mundurze i węszący pies. Kolejny dom i cheralawy mężczyzna trzymający skute kajdankami rękę, pod narzuconym na ramiona płaszczem. Szerokie schody prowadzą do górniczego wagonika monstrualnych rozmiarów. Wyżej ruiny twierdzy pamiętającej czasy współistnienia – bez wszechobecnych uniformów, karabinów, opancerzonych samochodów, agresywnej nienawiści i obcych – na tej ziemi...

### Impresja III

Rytm dnia wyznaczony godzinami posiłków: 7.00, 12.30, 18.00. 115 ludzi. Mali i duzi. Biali i czarni. Faceci i baba. Starsi i młodszy. Chudzi i grubi. Z przerostem mięśni i ze sflaczalnymi brzuchami. Łysi i bujniymi czuprynami. Wytatuowani i zakolczykowani. Flegmatycy, sangwinicy, melancholicy i cholerycy. W czarnych uniformach z niebieską plaketką na rękawie i równie niebieskim beretem. Na pagonach belki, gwiazdki i szaszłyki. Czarne kamizelki kuloodporne, na nie siatkowe ze schowkami na wszystkie możliwe akcesoria. Przewieszona długa broń i czarny lub z niebieskim pokrowcem hełm. Albo w białych kaskach, z tarczami, pałami i ochraniaczami na wszystkich możliwych kończynach. Potykając się biegną do białych samochodów z czarnymi literami UN. Kolejny wyjazd.

Przemieszczają się niemrawo pomiędzy pięcioma jednakowymi barakami, na przestrzeni ograniczonej kolczastym drutem i trzema wieżyczkami wartowniczymi. Turlają się po śniegu. Podnoszą ciężary. Wcinają odżywki. Pałają papierosy, wrzucając pety do niebieskich puszek po oleju. Stoją w kolejce po kolejną porcję zapychacza żołądków. Zbierają się w grupkach, żeby ponarzekać. Kolejny problem? – przecież trzeba mieć, o czym pogadać. Żywe gesty i śmiech. Czasem zacięte lub znudzone miny. Wszechobecne fotografie najbliższych. Zdobywcze plakietki z mundurów innych formacji. Plakaty. Wypatrzone w „PX-e” wieże. Przyczepione do blaszanych ścian baraków satelity. Zamykające się oczy przy kolejnym filmie oglądanym piątą raz. Okruchy „suchych porcji” na biurku. Czas podzielony między: sen, pisanie listów, łapanie sieci komórkowych i wysyłanie sms-ów, spotkania, oglądanie telewizji, surfowanie po Internecie, siłownię, książkę, muzykę, wygłupy, opalanie i wyjazdy do miasta. I marzenia... o nowych samochodach, podrózach, o rodzinie, o .... I jeszcze większa tęsknota. Zarwane noce niezbędnymi akcjami i niepotrzebnymi alarmami. Kolejna warta, kolejna akcja. Czas! Czas! Czas! Zbyt wolno... Odliczanie dni do kolejnego urlopu. Do przyścia kolejnego listu. Do kolejnego zadania. Do posiłku. Do przeprowadzki. Do kolejnej spalonej stacji policyjnej. Do kolejnego meczu. Kolejnego przeszukiwania.

Zapada noc i pozorna cisza. Jasne okno oficera dyżurnego. Chrząst żwiru pod stopami wartownika. Cmy krążące pod światłem latarni. Odległe wycie psów. Minął kolejny dzień. Jaki będzie następny? 7.00, 12.30, 18.00.

### Impresja IV

Niedziela. Krople deszczu złobią wzory w zakurzonej szybie samochodu. Opadają na pobocze, gdzie złote dziurawce pochylają się nad radośnie czerwonymi makami, a osty zerkają modrymi kwiatami. Rozczochrane zagony kukurydzy beztręskoko falują na wietrze. Czerwone paliki wytyczają bezpieczną ścieżkę życia wśród min. Ukryte zakale rzeki zdradza nagie poślądki zażywających kąpieli. Brogi i kopy siana wśród pól. Łany nagle dojrzałego zboża. Sterty nawozu o zapachu niezależnym od wyznania i kraju. Sroka huśtająca się na wiotkiej gałęzi. Chłopcy beztręskoko kopiący piłkę między workami piasku na check-poincie. Gdyby nie oni rosłaby złuda: góry i wioski, kopki siana i błyskające ostrze kosa, potoki i pasące się krowy – nasze, swojskie, polskie!!!

Przełącz. Piękno gór wzbudzające pokorę. Serpentyne drogi wijące się wokół pagórków leżących jak podkulone nogi Albańczyka w stożkowatej czapce na głowie. Monastyr chroniony pięścią i kulą, kryje widoczne z oddali czarne habity. Biała, smukła wieża meczetu odbija się od ceglanych murów. Pomarańczowe kombinezony i stopy min wyszarpnięte ziemi. Szkielety nie wiadomo czy wznoszonych, czy burzonych domów. Spalone dachy. Pojedynczy żołnierze stojący wzdłuż drogi, czekający na bezpieczny konwój. I ci siedzący w wieżyczkach czołgów, schowani za lufą karabinu maszynowego.

Wesele. Kawalkady samochodów – od yugo po mercedesa – kipiące ludzką radością. Świątecznie przystrojone dziewczyny, wysuwając się przez otwarte dachy i opuszczone szyby, klaskają do rytmu w dłonie. Między smukłymi palcami przytrzymują lekko strzępy tkanin. Krwistoczerwona flaga z dwugłowym czarnym orłem wskazuje nowy początek. Wycieraczki oplecione kolorowymi, frotowymi ręcznikami furkoczącymi na wietrze. Zgiełk i wrzawa. Muzyka zmieszana z okrzykami, śmiechem, śpiewem i rykiem klaksonów.

Akcja. Pasiaste, jak rozdęte, zielone stonki kule arbuźów, uwieszone w kojcach. Łany słoneczników złocistsze niż u van Gogha, biegnące po horyzont. Smętne muczenie krowy dobiegające z pseudoobórki, domaga się porannego udoju. Stara, skrzywiona starością kobieta w obszernych spodniach, siada w szerokim rozkroku, popijając smolistą kawę. Chuda dziewczynka z brązowymi, sterczącymi niesforne włosami, przygląda się ciekawie tabunowi uzbrojonych ludzi w czarnym moro. Dżgane na wylot, cał po calu siano zebrane w stos. Badane wykrywaczem metalu krzaki. Otwierane majzlem drzwi scania kryją kolejną tetetkę. Metodycznie. krok za krokiem zbliża się kolejny wczesny i długi ranek.

Kosowo, jak nasz zminiaturyzowany świat. Bez dostępu do morza, za to z górami, chmurami, jeziorami i dolinami. Malowniczymi przełęczami i rwącymi potokami. Gdzie jednym językiem - angielskim - mówią ludzie o wszystkich możliwych odcieniach skóry, pochodzący z każdego możliwego zakątka globu. Gdzie ludzie wierzą w to samo, ale inaczej. Gdzie przeżywają radość, szczęście – ale też ból, rozpacz i cierpienie. Gdzie walczą ze sobą i się kochają. Gdzie śmieją się i płaczą. Gdzie podają dłoń i wbijają nóż. Gdzie rodzą się i umierają, a w każdym z nich jest to, co żyje w każdym z nas: i dobro, i zło; i miłość, i nienawiść; i radość życia, i smutek śmierci; i szarość, i blask.

Zamknięci na pokładzie arki, nad którym wiecznie krąży gołębicą. Miniatura świata jak cień tkwiąca w zamkniętych dłoniach, nie wiadomo, którego Boga.

### Impresja V

Bośnia. Smutno i deszczowo. Drzewa powoli ubierają jesienne liście. Gęsto rozsypane wapienne skały pasą się na łące, jak poszarzałe baranki. Wyskubują żdźbła lichej trawy spomiędzy krzaków jałowca i kolczastych krzewów, z karminowymi kuleczkami owoców. Na szmaragdowej wodzie zakola rzeki, ręka olbrzyma ustawiła bezludną wysepkę jesiennej barwy. Tkwi w niej, jak przypadkowo wrzucony do kałuży kamień. Wyżej samotnie, zagubione między pagórkami ruiny domów szukają schronienia w resztkach sadów. Straszą martwymi oknami. Kilkugrobowe cmentarze ostatniej wojny przytulają się do przedmieść, lasów i poboczy dróg.

Domy. Ściany poranione pociskami. Ślady jak po bakaliach wydlubanych z zakalcowatego ciasta. Zadrapania przysłania gdzieniegdzie gipsowy opatrunek. Na piętrach pozbawionych okien i drzwi rozciągnięte sznury pełne wilgotnego prania. Na parterze zielona pałatka udająca szybę, zaznacza, że dom żyje. W innym, białe brody rogatych kóz wychylają się spomiędzy zielonych krzewów, powojennych lokatorów zburzonych domów. Kryją się przed deszczem.

Granica państwa. Kontener strażnicy. Celnik zaprasza na kawę do przydrożnej kafejki. A potem ziemia niczyja. Bezludna. Droga ginie za zakrętem i pojawia się ponownie za kolejnym. Jakby błędziła, pokonując z wysiłkiem kolejne wzniesienie. Wyżej. Jeszcze wyżej.

Czarnogóra. Potężne iglaki pokrywają wysokie góry. Nad drogą zwisają skały, jak zwielokrotnione okazy minerałów, z dającymi się odróżnić tkwiącymi w gronach pojedynczymi kamieniami. Jak fragmentami bryły wielkiej soli. Kamienna ściana otulona ledwo widoczną pajęczyną siatki. Ukryte w krzakach ciemne oko tunelu prowadzi z litej skały wprost do strumienia. Strzeliście świerki oddalonej przełęczy, unoszą gałęzie jak w tańcu. Zastygły, jak spódnice gigantycznych baletnic. Przydrożne drzewa założyły ciężkie peleryny dzikiego wina i bluszczu. Dorodne kapelusze grzybów brązowią się na skraju lasu. Spadzista ścieżka nieśmiało zaprasza do jego wnętrza. Za kolejnym zakrętem drogi zmienacka pojawia się biała, samotna świątynia. Odbija się od ciemnozielonej, prawie czarnej ściany lasu, przykrytej mgłą, jak strzępami cukrowej waty. Kamienne mury starannie oddzielają sąsiednie pastwiska. I konie, pasące się w lepkiej mżawce.

Zapada mrok w długich, żłobionych we mgle tunelach. Reflektory po omacku szukają mokrego asfaltu bałkańskich dróg. Już bezpiecznie, prowadzących do zwykłego, spokojnego, wypełnionego codziennością życia.

### Impresja VI

Strbce. Zaciszny zakątek Kosowa. Czas zamarł jak posypany szaczarowanym proszkiem przeszłości. Dolina leniwie tętni życiem. Samochody ze wspomnieniem tłumika, zatrzymują się przy każdym napotkanym znajomym. Mijają łąciate, opancerzone pojazdy i te, zaprzężone w rogate krowy. Przydrożne kafejki wabią grzaną rakiją i chłodnym piwem. Budki pełne drobiazgow, zachęcają drewnianym, zanurzonym w bursztynowym trunku krzyżem. Ręcznie malowane twarze świętych na szklanych butelkach, zdają się uświęcać ich zawartość. Niedzielnie ubrani ludzie, obciążeni słodkim brzemieniem ciast i tortów, dołączają do grupki weselników. Echo radosnych śpiewów odbija się od jeszcze zielonych wzniesień. Od górskiego grzbietu przypominającego skórę ropuchy. Od pachnących owoców jałowca. Od wapiennych skał.

Słońce. Ostre, ślizga się po złotych liściach jesiennych drzew. Przebija przejrzyste powietrze. Delikatnie łaskocze miedziane kępy traw. Barwy jesieni pełne ciepła, otuliły drogę wspinającą się wśród wysokich gór. Coraz wyżej. Wąskie kaskady lekko spienionej górskiej wody pluskają się po krągłych kamieniach strumieni. Kopuły cerkwi rysują się miękko na tle jasnego nieba. O bliskiej przeszłości przypominają spalone dachy letniskowych domów. Sterczą czarniawe kominy, okopcone dymem. Im wyżej, tym ściana koloru staje się coraz bardziej zielona. Opadające liście przegrywają z zahartowanymi zimnem szpilkami drzew.

Psy. Szarobeżowe, kudłate, kaprawymi oczami bez entuzjizmu spoglądają na intruzów. Puste ścieżki prowadzą szlakiem narciarskich wyciągów. Pozornie nieruchome krzeselka kolejek lekko drżą na wietrze. Sople i okrucy lodu wesoło mrugają spomiędzy kamieni. Lekko zamglone górskie pasma falują jak spokojne, granatowe morze. Sięgają nieskazitelnie niebieskiego nieba na horyzoncie.

Ścieżka. Prowadzi przez stromą lawinę rzuconych kamieni. Między granitowymi głazami, unoszą się wysepki przesiąkniętego wilgocią mchu. Niewidoczny potok bulgocze pod nimi jak wrząca woda. Wypływa zamrożniętą strugą w ocienioną kotlinę. Zardzewiałe wagoniki kolejki kryją puste, plastikowe butelki po spragnionych i kawałki szkła.

Domy. Czerwień dachówki i biel ścian chronią wznoszące się dokoła górskie szczyty. Zostały daleko. Gdzieś tam, w dole. Zagubione, ale bezpieczne. Z poszarzałymi kopami siana na polach. Z kozami wyskubującymi żdźbła z żywopłotu. Z kwiczeniem warchlaka, bezdusznie wlezonego na powrozie oplatającym nogę. Z polanami wrzucanymi beładnie na wóz. Pulsują życiem, które zastężyło.

### Impresja VII

Ostatnie dni. Pełne płatków śniegu migoczących w świetle latarni. Przyprószyły wszystko: pobocza pełne śmieci; stojący przy drodze auto-pjese, z wrakami samochodów i górami opon; ledwie wzniesione mury domów z czerwonej cegły; nieśmiały dym z komina; cmentarze z białymi nagrobkami, które odróżnić teraz można od morza białości, po czerwonych flagach z dwugłowym orłem. Strzeliste wieże meczetów, jak gigantyczne pociski, zlewają się z równie białym tłem. Stojące obok kopki i brogi siana, założyły białe czapy. Niebo równie mglisto-białe, ponure i smutne. Jak szklana kula, w której gdy potrząsniesz, zakwita biały śnieg. Opada i spowija wszystko lekką mgiełką zapomnienia.

Droga. Część dziur gdzieś zniknęła, wyrównana stolnicą asfaltu. Wyrósły zagajniki zabudowań. Przytłoczyły swoją ilością spalone dachy domów. Mimo prószonego śniegu, ręce robotnika chwytają kolejną deskę wciaganą na wznoszone właśnie piętro.

Lotnisko. Nożyczki do paznokci wędrują do kosza na śmieci. Wprawne dłonie dokładnie przetrząsają bagaż. Bramka piszcząc reaguje na klamry paszków. Oczekiwanie na samolot. Ostatnia kawa z mlekiem. Nad głową obrazy bożonarodzeniowych teledysków. Merry Christmas! Biała i wietrzna płyta lotniska nie zachęca do pozostania na dłużej. Przez okrągłe szyby widać jeszcze znajome budynki. Szybko znikają pochłonięte mroźnym powietrzem.

Wszystkie obrazy powoli odchodzą w przeszłość. Wkrótce będą już tylko zamazanymi wspomnieniami. I tymi dobrymi i tymi złymi. Jak kolejna cegła w murze życia, pozostaną na zawsze. Coraz bledsze...

□ Sylwia PUCHALIK

Poezja

# Radovan Brenkus



Urodził się 30 stycznia 1974 w Bardejowie. Ukończył studia na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu P. J. Szafarika. Pracował w Koszycach jako nauczyciel, później jako specjalista w Zakładzie Fizyki Eksperymentalnej Słowackiej Akademii Wiedzy. Założył Wydawnictwo Pecus, w którym podjął się wydawania literatury oryginalnej i tłumaczeń obcojęzycznych. Obecnie pełni w nim funkcję dyrektora. Jest redaktorem słowackiego literackiego czasopisma „Dotyki”, zajmuje się krytyką literacką. Swoją literacką twórczość prezentuje w Słowackim Radiu, publikuje w czasopiśmie na Słowacji i poza granicami kraju, jest w stałym kontakcie z rzeszowskim środowiskiem literackim. Debiutował w roku 1997 zbiorem poezji *Pochód martwych*, następnie podarował czytelnikom poezję w zbiorach *Rekwiem w prochu* (2002) i *Romans z rusalką* (2005). W tym samym roku wydał swoją pierwszą książkę prozatorską – zbiór opowiadań *Powroty piekła*. Część jego twórczości przetłumaczona została na języki: angielski, polski, rosyjski, ukraiński i bułgarski. Radovan Brenkus, twórca nowogotyckiej fali poetyckiej, który w prozie czyni noworomantyczne postępy, jest uważany za głównego, najbardziej kontrowersyjnego pisarza młodej generacji.

## Planeta przed światła

przywłaszczamy sobie boską postawę,  
my potężni jej potrzebujemy.  
Biada łotrom, którzy nie uwierzą.  
Dlatego mną objaw nieistniejące!  
Chodźmy sobie wymyślić to, czego nie mamy,  
i chodźmy siebie wymyślić tym,  
czym nie jesteśmy. Przez rakowe kroki naprzód.  
Runami się staniemy skutecznymi.  
Reszta jest podobna do matki,  
która sobie miękko przytuli piękne zwierzę.  
Naręcze zwraca zmarzniętemu niebu,  
co się tak perfidnie topi.  
I oto jest pierwszy śnieg,  
przeciw któremu obracają się  
pokrwawione płatki. Żadna sfera...  
Ani ciało obrócone przeciw prochu.

## Czułego niebieskiego kręgu

krępuję zegarowe wskazówki,  
żeby nie wydał nawet głosek.  
Na wygnaniu kraina,  
kraina wilków i szczurów.  
Z księżycem o twarzy rdzawej kosy.  
Padlina w popielisku, co ostygło  
od wyschniętej krwi. Nad rechotem plagi  
wzleci rozumne stworzenie,  
kiedy przebrzmi wycie i piszczenie  
w zaślubionej ziemi martwych bogów.  
Boski się rozpadnie zmysł dziejów,  
zmysł syna... zostanie niezbadany.  
Księżyc się więc nie stępi  
po dobitnym ostrzu pokolenia,  
aby się wzrokiem sięgnęło na jego dno,  
dno kamienia.

## Płynięciem porządku do zmysłów

noc i wiatr, kobieta i mężczyzna.  
Oboje ulegli rozpustom  
niewinnie zmieniają położenia  
od parskania miazgi  
po krojenie krwi,  
od skóry do kory.  
Góra ślepa groza,  
innym razem głuche narzekanie.  
I znowu świtem  
przy trelowaniu słowików,  
którym z gardeł  
od zawsze kwitną róże,  
rozdwoi się ich pnące ciało,  
dlatego, że o zmroku  
jeden polega  
na większym bólu drugiego.

## Bez względu na wynikowy zestaw

raz po ostatniej uczcie  
wejdziemy do trzynastej komnaty.  
Na kwiatowym łożu się ułożymy,  
zmęczeni z podróży.  
A osobliwe świece na ołtarzach,  
w świątyniach barokowych jaskiń,  
dźwięczniej zapalą się skrzydłem,  
jednookim spaniem.  
Jeden w drugim się roztopimy,  
w bławatkowej godzinie ciemnego zamku,  
trzymani na pierzu... Za łyż.  
Anielska istota nikogo w drzwiach  
przemaluje wiszące obrazy,  
z jakich się roni wosk,  
i przykryje nas jedyną  
ciepłą farbą.

Tłumaczenie: Marta PELINKO

## Wywiad

# Tworzymy, aby nie zadławiła nas pustka?

Rozmowa z Radovanem BRENKUSEM – pisarzem, krytykiem literackim i wydawcą

**Już z tytułów Pana dzieł wypływa fascynacja mistycyzmem. Czy tak bardzo ważne dla życia doczesnego jest rozważanie o życiu pośmiertnym? Czy nie ma w tym zbytniego powrotu do werterowskiego romantyzmu?**

– Nie, dlatego że temat życia pośmiertnego wydaje mi się zbyt oddalony od postaci Wertera, chociaż nawet i on nie mógł się wywinąć refleksjom o śmierci. W jego przypadku Goethe zajął się głównie tematem nieodwzajemnionej miłości do Lotty, gdy tymczasem ze swoim charakterem nie tylko Werter musi skończyć tragicznie. Podstawowe uczucia marności, które nie ominą prawie żadnego młodego człowieka, czynią go „wieczną” postacią. Tym pytaniem uświadomiłem sobie teraz oczywistą paralelę z opowiadaniem *Na drugim brzegu*, gdzie Paweł także kończy tragicznie z powodu nieodwzajemnionej miłości do Werony. Podobieństwo jest jednak zewnętrzne. Ta historia ma inne podłoże, porusza inne zależności. Paweł w odróżnieniu do Wertera umiera szczęśliwie. Literatura poważna rozwija się poprzez komunikację z przeszłością i nie da się tego ominąć, choćby tylko z punktu widzenia zespolonej świadomości. Pytanie brzmi: czy konkretny powrót w literaturze jest powtórzeniem napisanego, czy przynosi oryginalne spojrzenie? Ta odpowiedzialna rola spoczywa na barkach literackich naukowców. Dlatego nie godzę się na twierdzenie, że w moich tematach powracam do romantyzmu, a przede wszystkim jako autor nie mogę się zgodzić z jakimkolwiek zbytnim powrotem. Gdybym był o tym przeświadczony, żadnej książki bym nie opublikował. Jeśli za jeden z podstawowych znaków literackiego romantyzmu będziemy uważać rozbieżność pomiędzy tęsknotami a rzeczywistością, to nie wykluczam, że ów element może być zawarty w mojej twórczości. Nie jestem však kompetentny wartościować swojej twórczości. Oczywiście, rozważanie o życiu pośmiertnym dla praktycznego życia wydaje się zbyteczne. Z drugiej strony uświadomiam sobie, że nie przebywamy tu dlatego, abymy zaspokajali jedynie swoje podstawowe potrzeby. W odróżnieniu od zwierząt dociekamy własnego sensu i w pewnym stadium życia pośmiertne staje się częścią innych nadrzędnych pytań etycznych.

**„Pamiętaj, że tą plażą kroczyliśmy tylko raz...” (Nawet nie wstąpisz do rzeki – ze zbioru *Romans z rusalką*). W gołych prawdach bywa coś smutnego. Nie czuje się Pan trochę tak, jak intelektualny bergmanowski rycerz smutku? To dlatego Pańskie ego pozwoli napisać też wiersze wesole, pełne śmiechu i radości? Albo inaczej – Aleksy Mikulaszek (czeski krytyk – przekł.) napisał, że źródłami Pana inspiracji są symbolizm i subiektywizm słowackiego poetyckiego modernizmu i surrealizm z jego wizualizowanym ludzkim lękiem. Dlaczego właśnie te źródła, a nie inne?**

– Nie wiem. Kiedy tworzę, nie uświadomiam sobie, z których źródeł czerpię. Pewne uczucia, uwagi – i z tego wypływający obraz świata w książce *Powroty piekła* – spadają do jakiegoś okresu mojego życia i przypuszczam, że w przyszłości mogą być inne źródła, które mnie być może popchną gdzie indziej. Czas *Powrotów piekła* jest już dawno za mną, dzisiaj jestem zupełnie gdzie indziej. Mam wrażenie, że bezsilność zobrazowana w różnorodnych przejawach jest literacko wyczerpana. Jak gdyby tragiczne osady żądały komedii, gry, w której jest wszystko z góry jasne, a przecież wszystko jest inaczej, niż to na zewnątrz wygląda. Nie czuję się jak rycerz smutku, tym bardziej jak intelektualny

lub bergmanowski. Ależ by mnie Cervantes z Don Kichotem porządnie wyśmiał. Moje ego pozwoli mi napisać jakiejkolwiek wiersze i przypadkowo je opublikować, jeśli mi się po wielu wątpliwościach uda dotrzeć do zakończenia, że ich publikacja ma sens dla czytelników poezji. Nie biorę względu na ich garnitur, niech oddziałują w swojej nagości. Muzyka poważna pozostaje poważną niezależnie od tego, czy wyraża smutek, czy radość. Mimochodem, kiedy czytałem poezję Poe, Baudelaire, czy Trakla, nie potrzebowałem katarsis w jej przestrzeni. A przecież miała na mnie silny estetyczny wpływ, który da się przyrównać do oczyszczającej kąpieli. Przedtem nigdy nie wierzyłem, że poezja może powodować aż taką ulgę, najwięcej taką, co palce wkłada do popiołu mimo światła, chyba po to, aby wygrzebać okrutną bajkę.

**W odróżnieniu do pozytywnie przyjmowanej poezji, Pana prozatorska książka spotkała się z o wiele mniejszym zrozumieniem. Czy tylko dlatego, że poezji nie da się zawsze automatycznie przetłumaczyć na język prozy?**

– Przyczyn jest oczywiście więcej. Moim celem nie było przełożenie poezji na język prozy. Odwrotnie, przy tworzeniu opowiadań usiłowałem zapomnieć o poezji. Miejskami wszak mi się zdawało, głównie podczas korekty, że metafora w skrócie uchwyci sytuację lepiej, niż prosty, albo przydług opis sytuacji. Czasami sobie pozwoliłem na nią przede wszystkim dlatego, że w prozie zdania powtarzają się jeszcze częściej i nudniej niż w poezji. Jednocześnie jestem przeświadczony, że to pomogło nie tylko formie, ale i treści. Końcowe wrażenia pozostają już czytelnikom. Nie myślę, abym przesadzał z konkretnym typem poetyckich środków. Z nimi też trzeba oszczędnie, jak z przyprawami. Na przykład na ekspresywnym symbolizmie spoczywa jedyne opowiadanie *Miasto półmartwych* i kilka takich to zwrotów użyłem w opowiadaniu *Niebieski ogród w piekle*, gdzie w niektórych miejscach były konieczne i odpowiednie opisy specyficznego środowiska, i atmosfery. Przyczyną mniejszego zrozumienia książki *Powroty piekła* mogą być różne. Przy niektórych odezwach pojawiło się zgodne pytanie: dlaczego moja poezja spotkała się z mniejszym zrozumieniem niż proza? Według mnie, dla autora zbędne jest spekulowanie o takich przyczynach, jak również o przyczynach przyjęcia prozy przez większość czytelników, którzy są pełni zapału i przekonania, że na Słowacji takie historie z oryginalnej twórczości w ogóle się ukazały. Istnieje więc multum miłośników literatury, którzy postrzegają charakter współczesnej słowackiej prozy i być może moje opowiadania przyniosły im coś, na co podświadomie czekali, ale nie umieli tego znaleźć. Wydaniem tej książki zainteresowali się Polacy i Francuzi.

**Jakby Pan scharakteryzował język matematyki i fizyki? Znajduje Pan w nich także poezję, jak swojego czasu, powiedzmy, Wojciech Kondrot (słowacki poeta – przekł.)? Usiłuje Pan wiedzieć i pasję surowo od siebie oddzielać, albo może są między nimi punkty styczne?**

– Język matematyki i fizyki jest formalny ze zdecydowanie umówioną strukturą, która ma swoje historyczne zakotwiczenie w metamatematycznej teorii dowodów. Język fizyki jest w większej mierze szukaniem interpretacji, wartościowaniem fizykalnych zjawisk. Ma zatem bardziej treściowy niż formalny charakter. Nie uwierzyłby Pan ile fantazji muszą włożyć fizycy, aby coś odkryć. Poezji,

jako sposobu na życie, uczuciowego przeżywania rzeczywistości, nie da się oprzeć ani w fizykalnej dziedzinie. Pisana forma poezji, która się do niej stale tylko przybliża, przedstawia wszak język, który na płaszczyźnie treści znajduje się w sprzeczności do matematycznego języka. Dlatego nawet fizyce, dopóki będzie wykorzystywał matematyczny aparat pryncypialnie, nigdy nie uda się uchwycić tego, co potrafi zobrazować poezja. Poetycki język jest paradoksalny (słowami ukazać to, co się słowami ukazać nie da), podczas gdy matematyczny język jest jednoznaczny. Wiersz zawiera wszystko i nic, lecz równanie grawitacyjne Einsteina lub równanie relatywistycznej mechaniki kwantowej Diraca ogarnia wszystko, co do tej pory jesteśmy zdolni fizykalnie udowodnić w makro-, albo mikroświecie. W równaniu jest „wszystko” implicytnie dane, matematycznymi prawidłami odkrywamy tylko jego wyniki, o których jako ukrytych nie wiedzieliśmy. W wierszu możemy odkryć to, co w nim wcześniej nigdy nie było. Obydwa symboliczne języki nie są w ekstremalnie kontrastowym stosunku, tworzą dialektyczną jedność sprzeczności. Z tego punktu widzenia nie jest możliwe, aby ich styczne punkty były usunięte! Tak, jak język poezji wykazuje własności formalizmu, podobnie matematyka udowodniła już treściowy charakter swojego języka przez twierdzenie Gödela o niezupełności aksjomatycznych systemów – w każdym formalnym systemie istnieją wyrażenia, których prawdziwości w ramach tego systemu nie można dowiedzieć ani obalić. Zarówno do swojej literackiej twórczości na pewno przenoszę niektóre filozoficzne pytania nauk przyrodniczych, czy tego chcę, czy nie, bo nie tylko fizyka jest bardziej filozoficznym, niż matematycznym wstępem do realizmu. Jeśli pisarz tworzy artystyczny obraz świata, nie może w nim zupełnie eliminować własnego światopoglądu, który spoczywa i na tych to pytaniach.

**Z prozaickiego debiutu w udanym opowiadaniu *Niekoniecznie błękitna zabawa* włożył Pan filozofującemu poecie do ust następujące zdania: „Piszemy powieści, gramy sztuki i kręcimy filmy. Wymyślamy sobie światy, w których znaleźlibyśmy się z przyjemnością. Inaczej oszalelibyśmy z codzienności. I poeci zamieniają proste mgnienie oka w życie na cudowny, aby nie zgłupieli z powszedniego dnia. Szukamy siebie w porywających historiach, ponieważ się tworzymy na wyarty realizm.“ Utożsamia się Pan z nim w tych słowach?**

– Jest oczywiste, że sam autor nie musi zgadzać się z wieloma twierdzeniami, wyrażanymi przez stworzone przez siebie postaci. Często je dobywa wewnętrzna logika fikcji. To jest część tekstu, z którym się do pewnej granicy utożsamiam. Jest wszak jednym motywem autorskiej twórczości unikanie stereotypu? Nie, chodzi o czysto egzystencjalny motyw jakiegokolwiek czynności, kiedy jesteśmy zdeterminowani robić cokolwiek chociażby na sposób Szyfła, tylko aby zabić nudę. Problem więc może nastąpić też na podstawie nudnego życia bez problemów – wtedy człowiek z dużym prawdopodobieństwem wymyśli swoje życie i według niego będzie je przeżywał. Większość śmiertelników w taki sposób ze swojego życia robi literaturę. Czy takie wyjście nie jest unikiem bez uniku? Tworzymy i działamy tylko dlatego, aby nie zadławiła nas pustka, którą nam w oczy zagląda nuda? Oczywiście dochodzimy do kontaktu też z innymi motywami twórczości. Motywem może być na przykład prosta radość z artystycznej fikcji. Dlatego nie chcę generalizować mocy tego, co powiedziała wspomniana postać. Przyjmuję, że w okrutnej, tragicznej historii nie chciałby się znaleźć żaden przypadkowy człowiek, chociaż może by mu jej romantyczny podstęp naznaczył, aby go przeżył, aby w odróżnieniu od obecnego życia znalazł swój sens w innym życiu.

Pytania przygotował

☐ Lubosz SVETON – Bratysława

☐ Tłumaczenie: Marta PELINKO – Rzeszów

Poezja

# Aneta Sierzęga-Bester

## Tryptyk o kobiecie

I.  
Patrzyłam dziś na kobietę.  
W koperki niesionym w wielkiej torbie  
Zamykała się cała świeżość,  
Jaką miała w sobie.  
Musiała przejść wiele dróg życia –  
Miała popękane pięty.

Czy może ją życie jeszcze zaskoczyć?

II.  
w kolejny postny dzień  
strzelił jej prosto w twarz  
obojętnością  
upadła mu do stóp  
skruszona  
- niczym biały chleb –  
że powszedni

III.  
Kobieta z odzysku  
- wypluta bo niestrawiona –  
Poszukuje.

Kandydat musi mieć  
Silne barki tworzące niezatapialną przystań;  
Rozwinięte zamiłowania matematyczne  
By bez trudu liczyć zmarszczki mojej starości;  
I kochać antyki a mnie jak laleczkę  
Z saskiej porcelany.

Mile widziane wielkie oczy.

\* \* \*  
(Kasieńce)

dziś w Tobie  
dla mnie  
tak małe  
iskrzące  
wciąż niecierpliwe  
ciągle pytające

dziś we mnie  
dla Ciebie  
wielkie  
choć milczące

\* \* \*  
mówią że miłość prawdziwa  
przenosi góry  
- po cóż mi Cię aż tak miłować,  
skoro mieszkamy na równinie – mówisz  
Więc chcę być obfitą góralką  
razem z tobą pokazać Trzem Koronom  
lazur morza

\* \* \*

tak blisko  
po drugiej stronie stołu  
zbyt daleko jak na możliwość  
wyciągniętej dłoni

brakuje końca tego  
co już w trakcie  
choć początek od mety  
niby jeden kroczek

tak teraz bolą mnie usta  
chore na samotność  
tak zazdroszczę szklance  
którą tulisz w dłoni

\* \* \*

z moją tak zwykłą  
zwyczajną zwyczajnością  
wszeptam Ci w serce,  
że kocham niezmiennie i wiecznie  
Ciebie –  
jak zwykle, zwyczajnie, najprościej...

Przywołam Ci Anioła  
by za rękę Cię doprowadził  
w upragnioną ciszę  
dziś obudzę Ci Anioła  
by był gotów...

z pokorą pełnego kłosa  
co niby słomą  
utrzymam świętość tego,  
co przed nami  
i jak kiedyś Ciebie –  
dziś pokocham czas  
- z pokorą wymłóconego kłosa,  
Co już słomą...

\* \* \*

Już dawno zgasły gwiazdy  
a niby noc  
Na dwu biegunach łożka  
choć jeden koc  
Szpecąca blizna ciszy  
gdzieś we mnie mocno tkwi  
cieniutką struną bólu trącam  
- nie słyszysz nic  
Limeryk naszej miłości  
wolność pożera  
Cisza Ci diamentem, mnie perłą,  
ja - żoną jubilera



Urodziła się 31 października 1976 roku w Łańcucie, tam też mieszka. Krótko przebywała w Stanach Zjednoczonych, gdzie ukończyła szkołę średnią. Studiowała w Rzeszowie administrację oraz ekonomię, choć zawsze jej marzeniem była psychologia. Obecnie studiuje resocjalizację i socjoterapię, ponieważ jej pasją jest oddanie się i pomoc drugiemu człowiekowi.

Zadebiutowała w 1996 roku tomikiem wierszy *Jestem wiosną*. W roku 2000 ukazał się zbiór wierszy *trojga autorów (Aneta Sierzęga-Morawski, Dominik Ćwik, Jerzy Wygoda)* pt. *Dialog zilustrowany nietuzinkowymi fotografiami*.

Wyróżniona w dziedzinie poezji oraz pierwszym miejscem w dziedzinie prozy w I Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej '93; I miejsce w konkursie Dni Kultury Chrześcijańskiej '93; I miejsce w konkursie organizowanym przez Polish Art. Club w Chicago w 1994 r. oraz nagroda specjalna tego klubu za najwyższe osiągnięcia artystyczne w roku 1995. Była najmłodszym członkiem Chicagowskiej Grupy Poetyckiej *Niezapłacony Rent*, działającej z inicjatywy poety Adama Lizakowskiego. Po powrocie do Polski zdobyła honorowe wyróżnienie w dziedzinie poezji na ogólnopolskim konkursie *Konfrontacje '99* oraz III miejsce w ogólnopolskich zmaganiach poetyckich *Moja Wiosna 2000*. Brała udział w audycjach radiowych oraz telewizyjnych, a także bardzo wielu wieczorach poetyckich w Polsce i w USA. Jej wiersze były publikowane w kilkunastu tytułach w kraju i za granicą. Zajmowała się również pisaniem artykułów do prasy lokalnej i ogólnopolskiej.

## Chrystus z piaskowca (Jurkowi Wygodzie)

każdego dnia  
szukam swojej Arkadii  
by móc zrównać się z Tobą  
Boże

dziś masz kilka piaskowych ziarenek  
w zmęczonym spojrzeniu

A mówili o Tobie,  
żeś silny jak głaz

Recenzja

# Nasza intymność

Kocha, dziękuje, krytykuje, wątpi, miewa nadzieję

Najnowszy, czwarty tomik poezji **Janiny Ataman-Gąsiewicz** nosi tytuł *Jesteśmy igraszka*. Poetka po mistrzowsku wprowadza nas w świat widziany nie tylko swoimi, ale i czytelnika oczami. Ten współczesny i ten nieco, choć nie tak bardzo, odległy. Wiersze różne tematycznie, jednak bardzo spójne, stanowiące ironiczny osąd bliskich każdemu, chciałyby się powiedzieć, prozaicznych, spraw. Błyskotliwa percepcja i spokojne zatrzymanie się nad zwykłymi, ludzkimi postawami, dylematami powoduje, że utwory Ataman-Gąsiewicz chłonnie się wręcz jednym tchem. To typowa, kobieca poezja, w której nie ma patosu, wydumanych metafor, zbędnych konwenansów. Ataman-Gąsiewicz kocha, dziękuje, krytykuje, wątpi, miewa nadzieję, a przede wszystkim myśli i obserwuje, mając do wszystkiego, co ją otacza bezpieczny dystans i ironiczny, lekki chłód.

W wierszu bez tytułu, kiedy autorka pisze: *Powód do wiersza z bólu powinien... / [...] wiersz jak perła uwierać powinien* jesteśmy świadkami, w jak wyrazisty sposób konstatuje uczucia, które towarzyszą każdemu twórcy przy układaniu strof. Nie ma wątpliwości, że nie tylko piszący, ale i gros czytających zastanawia się nad przyczynkiem do pisania w ogóle. I oto mamy jakże udaną próbę definicji. W wierszach tej poetki intryguje coś więcej, niż tylko treść. W niebanalny sposób bawi się bowiem intonacją słów i precyzją obrazu, co stanowi niewątpliwą atut w jej twórczości. W wierszu *Homo* autorka zaczyna: *.. krucho naczynie/ z cenną podobno/ zawartością...* i w jakże zdrowy, cynicznie nienachalny sposób podsumowuje: *... jedyny polujący/ na siebie ga-*

*tunek/ myśli o sobie/ z dumą*. I na tym nie koniec pewnej surowości w odniesieniu do współczesnego człowieka. W kolejnym wierszu bez tytułu Ataman-Gąsiewicz zastanawia się: *... podobno/ brzmi dumnie/ pewna poetka/ twierdzi/ że podejrzenie.../ ... kim naprawdę/ jest człowiek*. Ale, jakby na usprawiedliwienie, z potrzeby ogrzania pewnych trwozących ją przemyśleń i wniosków, pociesza siebie i czytelnika słowami: *... to nic/ że ludzie źli/ nie wszyscy.../ ... a słońce jutro/ też wstanie*.

Prosta narracja, graficzny szkielet kompozycji wyróżnia poezję Ataman-Gąsiewicz wśród wielu piszących. Oszczędność na szczęście dotyczy jedynie formy, nie treści. W tomiku spotykamy wiersze religijne. W jednym z nich autorka wyznaje:

*we mnie/ jesteś.../ ...nie wkładam ręki/ w przebitą bok/ nie wątpię/ nie wierzę/ o tym że jesteś/ wiem*. I dopełnia te słowa w kolejnym wierszu: *jest takie miejsce.../ ... gdzie tylko ja/ i On*.

Te utwory są jedynie skromnym uzupełnieniem całości zbioru poświęconego pamięci drugiego męża. Do niego bowiem skierowane są słowa wielu utworów. W nich poetka ukazuje pełnię swojego literackiego talentu. Szmerze wyrazistością i jasnością przemyśleń, w których główną rolę pełnią pamięć i wyobraźnia. Tworzy obrazy subtelne, czasami pełne bólu, gorczy i buntu, ale i bezkresnego oddania najpiękniejszemu uczuciu, które nie zardzewiało pod naporem czasu i z powodu rozłąki z ukochanym: *... tylko w bajkach/ długo i szczęśliwie.../ w bajce moral/ a tu sensu brak.../ ... nauczyłam się/ sta-*



*wiać kroki/ w ślady twoich stóp/ a teraz muszę/ żyć bez ciebie*. Pisze z tęsknotą i jakże wymownie pięknie w kolejnym wierszu bez tytułu: *... odkąd cię nie ma/ jesteś we mnie/ najczulszą struną*. Czasami jej strofy cichutko łkają, subtelnie uczą nas miłości: *to nie ja to ty/ siebie odkryłeś/ we mnie.../ moja miłość/ niedoskonała/ zaledwie przymierzam się do niej*. i związanych z nią wszystkich przywilejów, jak w wierszu: *nasza miłość/ nie wstydzi się zmarszczek.../ jest pozbawiona jadu zazdrości...*

Ogromną siłą oddziaływania na odbiorcę posiada wysublimowana poezja Janiny Ataman-Gąsiewicz. Ciepła, liryczna, nasycona ładunkiem emocjonalnym. Pomimo swojej lapidarności, wprowadza nas w świat nieprzemijających uczuć, sugerując zatrzymanie. Wyraźnie widać, że poetka przeciwstawia cywilizacji naturę, a rozumowi serce. Dzięki temu, że odsłania przed czytelnikiem sferę doznań najbardziej osobistych, pobudza do refleksji, nie narzucając swojego punktu widzenia, a jedynie nakreślając ramy, z których jak na dłoni widzimy jej, a w znacznej mierze i nasz intymny świat.

□ Marta ŚWIDERSKA-PELINKO

Z cyklu: Literackie zauroczenia

Wiesław Zieliński

## Baśniowy świat

Siła labiryntów naszych wnętrz

W słowo, które było na początku i przez które wszystko się stało – wierzone wówczas, gdy nie znano zasad pisowni. Gdy poznano pismo, rozpoczęła się triumfalna passa słowa, która zdaje się nie ma końca! Nikt rozsądny nie wierzy bowiem w kres słowa zapisanego tylko dlatego, że za sprawą komputerów zapanowała era obrazkowa.

Pojawienie się filmu i telewizji nie spowodowało utraty wiary w słowo. Wręcz przeciwnie! Istota ludzka nasycona barwą, utrwaloną na białym i szklanym ekranie, zapragnęła intymnego kontaktu nie tylko z drugim człowiekiem. Zapragnęła kontaktu przede wszystkim z sobą, z własnym wnętrzem... A to może dać tylko lektura interesującej książki, wyzwalająca wyobraźnię. Kontakt ze słowem zapisanym –

mimo całej złożoności istoty ludzkiej – pozwala uwierzyć także w lepsze, a nawet wznioślejsze cechy naszych charakterów. Aby tak się stało, należy mieć świadomość tylko jednego: własnej wrażliwości. Właśnie z myślą o takim czytelniku pragnę przybliżyć wartości zapisanych słów, która nie przemijają z kończącą się epoką, czy też tylko chwilową modą.

Za kryzys słowa zapisanego winię nie tylko komputer i agresywność środków masowego przekazu. Winię także krytykę literacką, która w chęci zyskiwania pokłasku idzie na łatwiznę. Zamiast mówić o tym, co poprzez wewnętrzne i intelektualne odczytywanie tekstów naprawdę zauroczyło – krytyka głosi to, co wygodne i bezpieczne. Niektórzy krytycy starają się być nadmiernie intelektualni, aż do granic rozsądku.



Może wierzą w posłannictwo przekonywania o tym, co tak naprawdę istnieje tylko dla nich samych, a nie dla czytelnika? Krytyk literacki nie jest od olśniewania nawet intelektem. Jest od ukazywania i odkrywania głębokich prawd zawartych w danym utworze. Oczywiście, każdy z nas ma subiektywny osąd przeczytanej książki. Lecz krytyk, przepraszam za trywialność porównania, powinien być jak sędzia piłkarski na boisku. Niewidoczny, ale skuteczny.

Pozycją niezwykłą i pasjonującą jest *Księga labiryntu*<sup>1</sup> stworzona przez Paolo Santarangelę, włoskiego naukowca i pisarza. Dzieło

zrodzone jako studium i rozpoczęte dla rozrywki, stawało się dla autora w trakcie zbierania materiałów coraz poważniejszym zamierzeniem. Ma charakter naukowy, ale napisane dostępne, czytane jest jak pasjonująca powieść!

Kultura minojska, a zwłaszcza niewyjaśniony do końca mit labiryntu, stanowią do dziś jakże fascynujący temat. Dotyczy to nie tylko artystów, ale także przeciętnych śmiertelników. Próby znalezienia odpowiedzi na temat rozkwitu i upadku tej kultury są nie tylko historycznymi dylematami naukowców.

W poszukiwaniu Tajemnicy popycha nas chęć udzielenia odpowiedzi na pytania, które drażą naszą psychikę. Pragniemy odgadnąć niewiadomą własnego, z reguły skomplikowane wnętrza, poznać przyczyny, dlaczego od początku istnienia ludzkości towarzyszą nam uczucia miłości i nienawiści. A co z tego wynika, dlaczego jesteśmy także podatni na wzniosłość, ale i podłość? Bezskutecznie, mimo rozwoju medycyny i nauk ścisłych, próbujemy uzyskać odpowiedzi na pytania, jakie siły (przyczyny), decydują o naszych narodzinach? Co następuje po biologicznej utracie życia? Czy prawdziwe są twierdzenia, niektórych filozofów, że narodzenie nowej istoty ludzkiej poprzedzone jest śmiercią innej osobowości naszego gatunku?

Paolo Santarcangeli nie udziela odpowiedzi na żadne z tych pytań. Naiwnością jest sądzić, że ktokolwiek może to uczynić. Przekazuje jedynie cały, ciężący na nas kulturowo, багаż owych baśniowych mitów. Chodzi o wyobrażenia, którymi ludzkość przez wieki zajmowała swój umysł. Autor *Księgi labiryntu* uwidacznia znaczenie mitów i baśni w naszym codziennym życiu. Minotaur jest czytelnym symbolem grzechu lubieżności matki i całego kobiecego świata. Cięży nad nim los niewinnego, ale okrutnego skazańca, gdyż sodomia musi być ukarana śmiercią, pełnym unicestwieniem. Choć zglądzenie grzechu, stanowi początek i podstawę odrodzenia się nowego, doskonalszego życia, jednak nikt nie daje się łatwo unicestwić.

W innej dokumentalnej, ale równie fascynującej książce polskiego autora Aleksandra Grobickiego – *Furie żywiołów morskich*<sup>2</sup>, znajdujemy szereg przykładów i podobnych w treści rozważań o wodnych kataklizmach. Od biblijnego potopu – poprzez zniknięcie legendarnej Atlantydy i właśnie potęgi królestwa Minosa – za występki przeciwko Bogu ludzkość karana była unicestwieniem. Tak przynajmniej tłumaczono brzemienne w skutkach wydarzenia. Dodajmy, że dla niektórych naukowców i znawców tematu mieszkańcy legendarnej Atlantydy byli potomkami króla Minosa.

Naukowcy w katastrofach doszukują się czysto racjonalnych przyczyn. Artyści, filozofowie i wszelkiej maści marzyciele byli i są jednak niepoprawni! Nie wchodząc w meritum zawitych racji jednych i drugich, bądźmy im wdzięczni. Czym byłaby ludzka cywilizacja bez tylu dociekań i swobodnych rozważań? Czy powstałoby wówczas tyle wspaniałych dzieł? Homer nie tylko opisał (o ile sam nie wymyślił na potrzeby fabuły i moralnych pouczeń?) wojnę Trojan z Achajami. Zbudował na kartach „Iliady”, a szczególnie „Odysei”, cudowny labirynt przeznaczeń i pozornie przypadkowych zdarzeń losów głównego bohatera drugiej książki. Wszystko po to, aby Odyseusz, po pokonaniu rozlicznych przeciwności, mógł dotrzeć do miejsca, z którego... rozpoczęła odwieczną wędrówkę!

James Joyce posunął się jeszcze dalej, chociaż takie stwierdzenie może stanowić obrazę

dla znawców i wielbicieli antycznej kultury. Irlandzki pisarz nieprzypadkowo swoje największe dzieło nazwał łacińską odmianą imienia Odys, czyli *Ulysses*... Mając do dyspozycji siebie i tylko siebie, zapuścił się w wędrówkę nie do obcych światów. Udał się do najbardziej niezgłębionej krainy własnego wnętrza! Niezbyt piękne były to odkrycia, czynione w formie literackich doświadczeń, wprost na oczach czytelnika zszokowanego tym nowatorstwem. Większość z nas, wychowana na lekturze klasycznych utworów, czytając *Ulyssesa* uczestniczyła w odautorskiej improwizacji z mieszanymi uczuciami. Irlandzki pisarz dzieli się bowiem z nami tym wszystkim, co najpierw rodzi się w podświadomości umysłu i doznań. Mamy więc do czynienia z literackim „towarem”, jeszcze „nieobrobionym”, niegotowym „na wystawę”. Uczestniczymy jakby w szczątkowych próbach, a nie w uroczystym spektaklu. Dzieje się tak, jakby Joyce chciał nam przekazać pewne przesłanie, że trudno jest odkłamać to wszystko, co znajduje się głęboko w nas samych! Może dlatego pozostał jako twórca nieodczytany i niezrozumiały, chociaż bez wątplenia był literackim geniuszem.

Nie tylko w literaturze (tak się dzieje ogólnie w sztuce) łatwiej jest uczynić ludzi pięknymi na zewnątrz. Wówczas wystarczy oddać pozornie wzniosłe czyny, bohaterskie gesty, złotousto słowa. Jeżeli jednak dotrze się do samego sacrum wnętrza, często okazuje się, że tak naprawdę mamy do czynienia z jego profanum. Tak przynajmniej przedstawia się sprawa z prozą Jamesa Joyce’a. Natomiast jego poezja, jest jakby zaprzeczeniem tego wszystkiego, co ujął w prozie. Polecam zbiór wierszy tego autora – *Muzyka kameralna*.

Grota, ciemność w znaczeniu schronienia, to klasyczne – zdaniem Santarcangeliego – sanktuarium tworzenia się czegoś nowego. Mądrym paradoksem było dotąd, że w dyskretnym oddaleniu powstawało życie. Mam tu na uwadze nie tylko dzieło biologiczne, ale także utwór napisany, skomponowany, namalowany czy sformowany. Narodziny mogą być także odnośnikiem w stosunku do utworu tylko wymyślnego, ale zaistniałego w ludzkiej świadomości. Z dala od innych, w samotności i pełnym opuszczeniu (lub tylko w takim poczuciu), kończy się kres ziemskiego życia. Tak było też w czasach prehistorycznych, o czym świadczą ślady zachowane w jaskiniach: rzeźby, rysunki, lub zachowane do naszych czasów, przedmioty odświętne i powszechnego użytku. Obecnie nie jest inaczej, chociaż aktem narodzin i śmierci próbuje się nadać perwersyjny charakter. Jest to pewien rodzaj wulgarnej jawności, która przejawia się zakłócaniem intymności. A intymność winna zawsze towarzyszyć naszym narodzinom i śmierci. Człowiek był bowiem i jest od wieków bardzo blisko innych istot żyjących. Jednak tylko obok – bardzo samotny w indywidualności!

To nie banał zrodził takie stwierdzenie, lecz właśnie między innymi dociekany przez ludzkość mit potwora Minotaura. Dochodzimy więc do następnych refleksji: a może mają rację ci, którzy twierdzą, że poczucie samotności czyni z człowieka zwierzę? Jeżeli tak, to logiczne wydają się próby powiązań ziemskich grzechów z omawianym mitem.

„Tajemnica tego, co jest odmienne, niezrozumiałe i niewytłumaczone, obce i odstręczające, zupełnie oderwane od wszystkiego, co jest nam bliskie i znane” – jak pisze Paolo Santarcangeli – zostaje przynajmniej częściowo wyjaśnione zwycięstwem solarnego symbolu w osobie Tezeusza nad chtomiczną bestią, symbolem zła i tajemnej mocy. Pomocą dla słonecznego bohatera jest największa siła ludzkości – MIŁOŚĆ! Pomoże zejść do tajemniczości naszego najgorszego nawet wnętrza (labiryntu!) po to, abyśmy jak zwycięski Tezeusz mogli wrócić z ciemności (braku uczucia) do blasku światła.

Ariadna, czyli niewinna i święta – musi być Istotą (przyczyną, czy tylko elementem?). Pozwoli pokonać zło przede wszystkim w nas samych! Przykładem tego jest odwieczna walka dobra ze złem. Dobro zwycięża zawsze przy pomocy niewinności.

Tego typu rozważania, dają nieograniczone warianty porażania się w własnej osobowości. Może być to czasami zbyt przesadne, ale czym byłby proces tworzenia bez wyobraźni?

Tajemnica ludzkich narodzin, czyli schronienie wewnątrz ciała matki, męskiego płodu. Mężczyzna zadaje kobiecie ból rozkoszy, dokonuje aktu „miłosnej przemocy”, w wyniku czego w sposób do końca nieodgadnięty i niepojęty rodzi się Nowa Istota! Początek wszelkiego życia na Ziemi zaczyna się podczas duchowego i fizycznego starcia dwóch odmiennych płci. Przez całe wieki, co ciekawsze w różnych kulturach, dobro było dawcą życia. Pozytywna rola matki (macierzy) kończy się w momencie aktu narodzin.

Są różne, bardzo odmienne i skomplikowane interpretacje takiej filozofii, wywołujące bardzo sprzeczne odczucia. Ale, jak przekazuje mądre ludowe przysłowie: „ziemia rodzi – ziemia zabiera”. W takim tłumaczeniu pasjonującego mitu, ludowego podania, mieści się także „labirynt” naszych rozważań. Proponuję pozostawić ten mit na chwałę wiecznej i cudownej baśni! Nie dokładajmy fałszywych cegiełek do tej wspaniałej, ale jakże skomplikowanej budowli.

Uśmiech Mony Lisy – czy nie jest kluczem dla odgadnięcia naszych wewnętrznych rozterek, przedstawionym w zagadkowym spojrzeniu? Malarstwo i grafika Pabla Picassa – czy nie są zachętą do odgadnięcia wewnętrznych stanów ludzkiej psychiki jakie towarzyszą twórcy podczas natchnionej pracy?

Moglibyśmy za Paolo Santarcangelim, mnożyć przykłady występowania mitu labiryntu w sztuce, nauce, zwykłych budowlach, lub nawet w grach i zabawach. Wymieniając je i tak nie wyczerpalibyśmy zagadki bogactw tego wszystkiego, co nam towarzyszy. Taka jest różnorodność i siła Tajemnicy zawartej w tym wszystkim, co nas otacza. Taka jest siła „labiryntów naszych wnętrz”!

□ Wiesław ZIELIŃSKI

Utworki prosimy nadsyłać do redakcji pocztą elektroniczną [literatura@rsdruk.pl](mailto:literatura@rsdruk.pl)

oraz w tradycyjnej formie pod adres: 35-082 Rzeszów, ul. Podgórska 4.

[www.naszdom.rzeszow.pl](http://www.naszdom.rzeszow.pl)

<sup>1</sup> Paolo Santarcangeli - *Księga labiryntu*. Wydawnictwo Wiedza Powszechna, Warszawa 1982.

<sup>2</sup> Aleksander Grobicki - *Furie żywiołów morskich*. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1982.